

Adam Wiaryga-Minieski.

JAK KRUKI.

Powieść z dni ostatnich.

85

— Ach! to pani, panno Julio... Przepraszam, doprawdy nie zauważyłam... Ale jak pani świetnie wygląda!

Nie był to wcale czczy komplement. Istotnie panna Julia Ożarska wyglądała dobrze o wiele młodziej, jakoś zupełnie inaczej niż dawniej. Oczy nabrały żywych blasków, uśmiech był weselszy i jakby trochę kokieterijny, cera gładsza, widocznie więcej pielęgnowana, ubranie i uczesanie stanowczo staranniejsze i nieźle do twarzy dobrane.

I teraz niktby nie mógł nazwać jej ładną ani nawet powabną, ale jednak kobiecość promieniowała od niej silnie, rzuciła różową lunę na przywidziałą szarą twarz, przebijała się w ruchach, w sposobie mówienia, w spojrzeniu.

— Doprawdy?

— Ależ istotnie. Jeszcze pani nigdy chyba tak dobrze nie wyglądała. Nabrała pani cery, przytyła trochę.

Panna Julia położyła rękę na ramieniu swej dawnej uczenicy i przez chwilę milczała, uśmiechając się tajemniczo a radśnie.

— Boteż jeszcze nigdy nie było mi tak dobrze i jasno na świecie — wyrzekła tonem poufalego zwierzenia — ta wiosna to naprawdę pierwsza moja wiosna!

— To miłość tylko tak przetwarza kobietę — pomyślała Wanda — widać spotkało biedactwo nareszcie szczęście na swojej drodze.

— Przyjdź do mnie, Wandusiu, zajrzyj koniecznie. Mam ci dużo, dużo do opowiedzenia. Tylko czemuś ty tak jakoś przymizerniała, dziecko?

Rzeczywiście, o ile podstarzała nauczycielka promieniowała radością życia, o tyle młoda i piękna uczenica uderzała przymizernieniem i smutnym wyrazem twarzy. Jakby dla jednej rozbiły się słońce, a dla drugiej zawlokło się chmurami.

— Mam zmartwienie ciężkie... Tatusz chory.

— Co? co powiadasz... Cóż mu jest?

— Zapalenie płuc. Tylko chodził bez kłopotu i przeziębiał się. Teraz lepiej mu już, ale doktor każe się dobrze odżywiać.

Dziewczyna westchnęła ciężko.

— Co za nieszczęście!... Choroba w tym czasie, ale tatusz już wstaje?

— Jeszcze nie.

— Lepiej mu jednak, mówisz?

— Trochę... trochę lepiej.

Dwie grube, jasne kropki łez stoczyły się po bladych, alabastrowo-białych policzkach.

— Gorączka mniejsza... ale...

Nie dokończyła. W oczach zamigotał błysk trwogi, jakby się przeraziła sama tego, co pomyśleć chciała.

— Mój Boże, przez to nieszczęście pewnie się znowu odwiecze twój ślub.

Wanda wbiła oczy w asfalt ulicy.

— Oczywiście... i jak pewno byłby nieprędko.

Tę półzawierzenie wypowiedziane głosem bezdźwięcznym, tonem prawie obojętnym, suchym, surowym, zadziwiło pannę Ożarską.

— I ty tak obojętnie mówisz?

— A cóż mam robić? Głowę tłuc o mur — rzuciła Wanda z nagłym rozdrażnieniem.

Panna Julia popatrzyła na nią uważnie i podniosła brwi do góry, co jej przywidziałej fizjonomii nadało wyraz gapiowatego trochę zdumienia. Mocno ucisnęła rękę panny Borowickiej.

— Pał Wandusiu. Zajrzę w tych dniach, choć jestem bardzo, bardzo zajęta i to nie tylko lekcjami... — oblał ją gorący dziewczęcy płomień rumieńca — oby Pan Bóg dał, żeby ojciec wyzdrowiał prędko i żebyś ty już raz wyszła za twój Kaziu... Bo... bo miłość... to jednak piękniejsza na świecie rzecz.

— Albo najboleśniejsza — przemknęło przez myśl dziewczynie.

Pożegnawszy pannę Ożarską Wanda zaczęła iść jeszcze szybciej niż poprzednio, straciła parę minut czasu, a miała przecież jak najprędzej zebrać dziwny apetyt.

— Czuję, że wyzdrowiałbym — powtarzał —

gdybym mógł zjeść kilkanaście truskawek... wiece, takich słodkich, dużych, soczystych.

Pora była wczesna na owoce, a z pieniędzmi u Borowickich bardzo kruczo, ale Wanda i matka jej nie mogły przenieść tego, aby nie dogodzić kaprysowi chorego.

— Taką ma ochotę... Natura najlepiej wie sama, czego jej potrzeba. Może istotnie polepszy się gdyby zjadł tych upragnionych truskawek — powiedziała wczoraj Borowicka do córki — musisz, Wandziu, pobiedz jutro na targ i kupić koniecznie. Niech już kosztują ile chcą.

— Dobrze mamusiu. Bylem tylko dostała. A ile kupić?

— No z funt... może kilo, gdyby nie były strasznie drogie. Na więcej to nam z pewnością nie wystarczy. I tak w tym miesiącu nie wiem jakby się związało koniec z końcem, gdyby Ruda nie pożyczył. Ojciec miał rację, ten Michał to istotnie chłopak o złotym sercu. A dla nas jak najlepszy brat, jak najprzywiązany syn.

Wanda nie odrzekła na to matce ani słowa, z nerwową pilnością cerując podarte skarpetki Mieczysia.

— A Kazimierz nie był już u nas przeszło tydzień. Dlaczego to?

— Nie wiem, mam... — odszepnęła zaledwie dosłyszalnie Wanda.

— Nie lubi pewnie atmosfery choroby i kłopotów. Wykwintniś, wygodniś! — zauważyła ironicznie matka, u której Kazimierz stracił zupełnie łaski.

Serce krajało się jej na widok cierpienia malującego się na pobladłej, wymęczonej twarzy córki i byłaby zapewne już dawno drzwi pokazała Rawiczowi, gdyby się nie obawiała, że Wanda zbyt silnie zareaguje na tak gwałtowne zerwanie.

— Niech lepiej sama z nim zerwie — zdecydowała — kocha go jeszcze, więc mogłaby mieć do niego żal za to, że się wtrącała.

Kazimierz zresztą sam przychodził coraz rzadziej i siedział coraz krócej. Borowicka nie myślała się wcale przypuszczając, że atmosfera troski i smutku jest dla niego zbyt przygniatąjąca, a powietrze przesycone zapachem lekarstw drażni go niemiło. Współczuł Borowickim, współczuł nawet szczerze, ale cóż mógł im dopomóc. Miałże biegać jak Ruda od apteki do lekarza, od piekarza do rzeźnika, wystawać w ogonkach za cukrem, czytać choremu gazety, mierzyć gorączkę, poprawiać poduszki? To było stanowczo za dużo na jego nerwy i tak wyčerpane ciągle lawirowaniem pomiędzy Wandą i Stefą, której już się oświadczył, bo go Burczykiewicz przycisnął do muru.

Zaledwie z trudem zdołał Rawicz wyjednać zwłokę w oficjalnym ogłoszeniu zaręczyn. Trzeba było jednakże już dobrze ukrywać się z wizytami u Borowickich, bo Stefa, w każdym innym wypadku posłuszna ślepo, niewolniczo pokorna, pod tym względem przejawiała ogromną podejrliwość i niepomahowaną zazdrość.

A ta Walerka nieznosna, a ta Lula szalona i te długie... Było od czego głowę tracić.

Wanda naturalnie o tem wszystkim nie wiedziała, czuła jednak aż nadto dobrze, że Kazimierz oddała się od niej coraz bardziej, że się jej wymyka.

Wiecznie zapłakana teraz dziewczyna, skłopotana, zgryziona, ubrana niedbale, byle jak, tracila z każdym dniem w oczach Rawicza. Zaczynało mu przy niej być poprostu ciężko i nudno i myślał nad tem, jakby się zręcznie wycofać z tej afery podwójnego narzeczeństwa.

Już kilka razy miał zamiar rozmówić się szczerze z Wandą, ale zawsze w ostatniej chwili brakło mu odwagi. Ogarniał go taki żal i wstyd, że słowa uwięzły mu w gardle. Najczęściej w takich razach porywał za kapelusz i uciekał gdzieś w tłum ludzi, do gwarnej kawiarni, między kobiety strojne, urocze, kuszące.

— — — — —

Jedną połączony rynek, zalanego słońcem zajęły przekupki, sprzedające kwiaty dzikie i ogrodowe. Płuka z lubością oddychały zmieszana wonią bzów, fiołków, róż, jaśminów i leśnych storczyków, oczy błądziły po dziwnie subtelnych niby wystylizowanych liniach kwitnącej tarniny, po smukłych kielichach różnobarwnych, bezwonnych trysów, po delikatnych dzwoneczkach konwalii i po impertynencko podniesionych główkach białych i żółtych narcyzów. Stosy gałęzi osypanych kwieciami białem, różowem, liliowem leżały na ziemi w jakimś malowniczym bezładzie. Gdzieś tam widniały więzy szafiro-

wych, jak włoskie niebo lub oczy polskiej dziewczyny, bławatków i purpurowych maków.

Wanda tęsknym wzrokiem ogarnęła to kwietne bogactwo, zapytała najbliższą przekupkę, ile kosztuje gałązka bzu i przerażona wysoką ceną odwróciła oczy.

Tuż za targowiskiem kwiatów rozłożyły się kobiety z koszykami wczesnych owoców. Panna Borowicka jęła się rozglądać szukając truskawek. Nie doniesiono ich dużo, a przytem te, które widziała były niezupełnie jeszcze dojrzałe, małe, rozgniecione jakieś.

Nareszcie dostrzegła to, czego szukała. Kobieta w krakowskim stroju ludowym, kłócącym się wybitnie z jej beczelnie zuchowatą twarzą wyszczekanej miejskiej przekupki, siedziała na ziemi przy koszyku pełnym ślicznych, dojrzałych wielkich truskawek.

Wanda gorączkowo zaczęła przepychać się przez tłum, w obawie aby nie rozkupiono tych czerwonych, słodkich, soczystych jagód zanim się ona dociśnie.

Nagle zatrzymała się i aż syknęła, tak mocno ją ktoś potrącił. Mimowoli obejrzała się i znalazła się twarzą w twarz ze Stefą Burczykiewiczówną. Uderzyło ją nienawistne, wrogie, a zarazem drwiące, szyderskie spojrzenie małych, brzydko oprawnych bursuczych oczu.

Burczykiewiczówna ubrana była w jasnozielony wiosenny kostium, w najmodniejszy kapelusz z przepysznym „rajerem“, w rękę trzymała ogromną wiązkę cudnych, ciemno-ponsowych róż. Błyskawicą przeleciało Wandzie przez mózg, że takie właśnie róże o ciemnej, prawie w czarny odcień wpadającej purpurze, lubi najwięcej Kazimierz.

Przecież nieraz dawniej kupowali je razem.

Doznała wrażenia, jakby ją ktoś mocno ścisnął pięścią w czoło. Zamroczyło ją niemal. Przystanęła na chwilę, chwytając oddech. Obie dziewczyny mierzyły się wzrokiem, obie milczące, zacięte. Jedna zdawała się tryumfować złym, zazdrośnym, niespokojnym tryumfem, druga walczyła wyniosłą, odpychającą pogardą.

Trwało to niedługo, ale było jak pojedynek śmiertelny, w którym żadna strona nie zwycięża, a obie przegrywają stawkę życia. Pierwsza spuściła oczy ku ziemi Stefa, przerażona nagłym jasnowidzeniem, że nigdy nie zdoła przewyższyć tej pięknej, dumnej, wykwintnej panny w ubraniu kopciuszka, a z twarzą królowej z bajki. A lodowała pogarda Wandy stopniała w ogniu szerego bólu, zalewającego serce wewnętrznymi palącymi łzami.

Panna Borowicka odwróciła się i szła dalej ku kobiecie z truskawkami, a Burczykiewiczówna za nią, sama nie zdając sobie sprawy, dlaczego to czyni, niby zahypnotyzowana. Miała w sobie teraz jedno tylko pragnienie. Dokuczyć tamtej, pokazać, że ma prawo nią pogardzać, bo ona jednak silniejsza, ona, Stefa Burczykiewiczówna milionowa dziedziczka.

— Dziadówka... — syczała w niej zazdrość, jak jadowna gadzina — spodniczyna łafana, bućki dziurawe, a mina jak... Przecież i ja gdybym była do szkoły chodziła... I wcale nie taka piękna... Błada, wymokła, te oczyska jak atrament.

A jednak... jednak jakże lękała się wpływu tych czarnych, wielkich oczu i tej twarzy „bladej, wymokłej“, której usiłowała odmówić urody. Wanda przecisnęła się do przekupki, sprzedającej truskawki.

— Ile kosztuje kilo?

Cena była fantastycznie wysoka.

— To bardzo drogo.

— A gdzie panna widziała, żeby teraz co, tanio było.

Wanda mimowoli westchnęła i sięgnęła do woreczka z pieniędzmi.

— Proszę mi odważyć funt.

Baba zamruczała coś niechętnie o bawieniu się „z głupim“ funtem, ale wyciągnęła jednak leniwym ruchem rękę ku wadze.

— Ja biorę wszystko! Cały koszyk! Proszę, tu są pieniądze! — zabrzmiał ostry, chropawy głos. Stefa Burczykiewiczówna rozgniewana, z brzydkim, złym uśmiechem wcisnęła przekupce do ręki banknot.

— Całuję rączki paniusi! Czy odnieść do domu?

— Nie trzeba, przyślę tutaj zaraz mojego służącego po ten koszyk.

— Padam do nóżek wielmożnej pani!

(Ciąg dalszy nastąpi.)